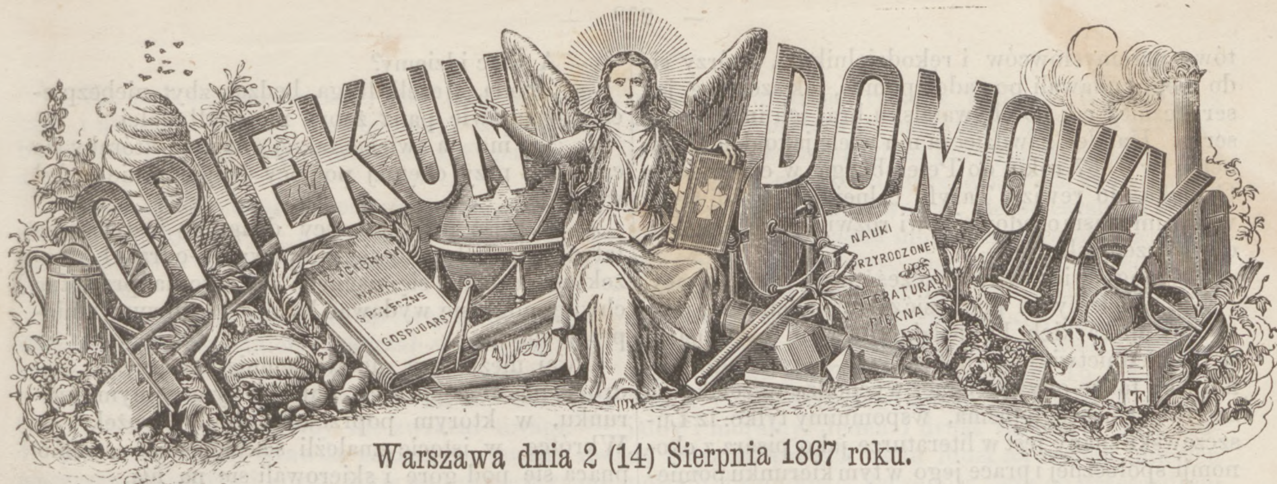


Warszawa dnia 2 (14) Sierpnia 1867 roku.

Nr 33. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

WACŁAW ŁUSZCZEWSKI.

Wacław Łuszczewski był człowiekiem pracy— w piśmie przeto naszem, należy mu się wspomnienie. Syn znakomitego urzędnika za dawniejszych czasów, wstępując w ślady ojca, poświęcił się pracy biurowej. Od aplikanta do poważnego stanowiska sterownika przemysłu i handlu, Łuszczewski pracą i wysoką zdolnością, zjednywał sobie pozycje pośrednie. Nie jeden z was czytelnicy moi, może mieć niedokładne pojęcie o pracy w urzędzie. Nie jestto jak wielu mniema praca bez myśli, powtarzanie tego co inni pisali, czyli jak to mówią kucie referatów na jedno kopyto. Nie bracia moi, zdolny i sumienny urzędnik powinien być przedewszystkiem obywatelem kraju. Łuszczewski tak pojmował swoje stanowisko jako Dyrektor Wydziału Przemysłu i Kunsztów w Kommissji Rządowej Spraw Wewnętrznych. Na tej pozycji poznałem go i jako mego zwierzchnika ocenić niech mi będzie wolno. Łuszczewski, odznaczał się wyższym poglądem na stosunki społeczne i był gorliwym rozkrzewicielem pomiędzy kolegami pojęć ekonomicznych. Pod jego okiem wykształciło się kilkunastu dobrych urzędników, bo Łuszczewski obok naczelnego kierunku w pracach biurowych, umiał zachęcać młodzież do poważniejszych studjów z dziedziny ekonomji politycznej, dostarczając zdrowych rad i wskazując źródła, z których czerpać można było. Pojmował więc, że sucha praca biurowa jako referenta, nie wyrobi dobrego urzędnika, jeżeli nie pozna zasad nauki administracji, prawa i ekonomji, jeżeli nie przejmie się ważnością stanowiska jakie zajmuje; wreszcie, jeżeli nie wdroży się do postępowania tak, jak na sumiennego człowieka przystało. Łuszczewski więc miał zasługę jako dobry naczelnik, jako zdolny kierownik młodszem pokoleniem urzędniczej młodzieży, która pod jego okiem kształciła się do służby publicznej.


Wacław Łuszczewski.—(Rysował Tegazzo,—Drzeworyt z pracowni Minhejmera).

Sam pracował wiele, szedł wciąż za postępem pojęć nauk ekonomicznych i o ile to w jego mocy było, stósował zasady gdzieindziej zdobyte do naszego kraju, i czy to jako Radca Dyrekcji Ubezpieczeń i Towarzystwa Kredytowego, czy też jako Dyrektor Wydziału Przemysłu i Kunsztu, dobrze zasłużył się krajowi licznemi projektami, z których wiele w czyn wprowadzonemi zostały.

Zaledwie rozwijający się przemysł krajowy, otaczał swoją opieką, niech zaświadczą ci z fabrykan-

tów, przemysłowców i rękodzielników, którzy się do niego udawali po radę i pomoc, jak szczerze, jak serdecznie, jak po obywatelsku brał ich interesa do serca. Handel zawdzięcza mu wiele jako delegowanemu w 1857 roku do Petersburga w charakterze Członka do rewizji Taryfy celnej, jako gorliwemu w swoim czasie orędownikowi rozwijającego się handlu i przemysłu.

Co mógł więc to robił; cześć jego zacnej pracy.

Nie będziemy tu podnosić zasług zmarłego; jako twórcy literackich Poniedziałków, lub ojca znanej w piśmiennictwie naszym Deotymy — te zasługi, jakkolwiek także obywatelskie, wychodzą wszelako po za granicę naszego pisma, wspomnimy tylko: iż Łuszczewski znany jest w literaturze jako pisarz z ekonomji społecznej i prace jego w tym kierunku pomieszczała *Bibljoteka Warszawska.* W ostatnich czasach przed śmiercią, probował sił swoich w powieści pod pseudonimem *Korczaka.*

Urodził się 10 Marca 1806 roku w Warszawie; Zmarł 6 Czerwca r. b.—pochowany na Powązkach.

Adam Mieczyński.

SIEROTA.

Oj, śnieżyca sobie hula,
Mroźny wicher dmie,
Wczoraj zmarła mi matula,
Tatuś podział się.
Z okien biją światła jasne
Ja na polu mrę,
Ani niewiem kiedy zasnę
Gdzie obudzę się.
Jeszcze kościół jest otwarty
Panie Boże mój!
Ja sierota, ja obdarty,
Ja mały, ja Twój.
Dziad kościelny mnie wypędził
On nie widział łez,
Modlił się, klął i zrzędził:
Jakbym ja był pies.
Cóżem złego zrobił komu
Nikt mnie niechce znać,
Nikt mnie niechce wziąść do domu
Gdzież ja będę spać?
Nie mam ojca i macierzy!
Oj! ściska mnie głód,
Głucho bije zegar z wieży
W moich oczach lód.
Pójdę, pójdę, może zajdę
Do smętarnych bram,
Grób matuli sobie znajdę,
Przytulę się tam;
Matula już pewnie w Niebie
Grób jej próżny już.—
Mój grabarzu proszę ciebie,
Tam mnie jutro włóż.

A. S.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(Ciąg dalszy, Patrz Nr. 32).

— Ręczę, że pan żałować nie będzież, zwłaszcza jeżeli dotąd na żaden szczyt nie wchodziłeś w Karpatach.

— Na żaden panie. Czuję przecież jaki to piękny widok musi być z wierzchołka.

— A więc idziemy?

— Zgoda. Jeżeli droga będzie zbyt niebezpieczną, namówię pana żebyś nie szedł dalej.

— Nie ma na świecie takiej góry, na którąby się człowiek przy chętnej pomocy drugiego nie mógł wdrapać.

— A zejść przy pomocy drugiego jest jeszcze łatwiej niż wdrapać się, to pewna,—odrzekł Mrożek uśmiechając się, uśmiech zaś jego na przelotną chwilę mógł się wydawać bardzo złośliwym i nieprzyjemnym.

Dwaj nieznający się wzajemnie towarzysze podróży, poszli cokolwiek dalej w tym samym kierunku, w którym poprzednio szedł Mrożek. — Wkrótce w istocie znaleźli ścieżkę dość stromo pnącą się pod górę i skierowali się na nią.

Nieznajomy szedł pod górę ze zwinnością człowieka, który już nieraz podobne robił wycieczki, którego wzrok przyzwyczaił się do patrzenia w przepaści rozwijające się u stóp i który spojrzeniem w górę, potrafił prędko wybadać w jaki sposób się na nią dostać. Mrożek wiele mówił o swej nieumiejętności drapania się na szczyty, mimo to szedł krokiem pewniejszym niż zwykle chodzą nieumiejętni. Nieraz żądał od nieznajomego podania ręki, a przecież stawiał nogi tak dobrze, że gdyby kto mógł z boku patrzeć na nich, poznałby że im pomoc nie była potrzebna. Nieraz stęknął na zmęczenie, chociaż mu nie brakowało sił i dosyć często odzywał się z powątpiewaniem o możności dostania się na szczyt, jakkolwiek trudno było przypuszczać, żeby powątpiewał szczerze.

Każdy kto drapał się pod górę wie o tem, że rozmowa jaka jedynie wtedy jest możebną nie bywa interesującą. Nie może ona przybrać tego jednolitego toku i tego logicznego związku, który całe jej zajęcie stanowi. Co chwila nastręczają się konieczne prawie do wypowiedzenia uwagi, to o spadzistości drogi, to o wyborze właściwszego kierunku, to o piękności cząstkowo przedstawiającego się widoku, o odległości szczytu, o niebezpieczeństwach przebytych albo grożących. Mimo to Mrożek z każdego wyrazu tej rozmowy starał się korzystać i widocznie w jednym celu,—w celu poznania bliżej swego towarzysza górskiej wycieczki.

Nim doszli do połowy spadzistości na którą się wdzierali, już Mrożek uporządkował sobie w myśli niektóre dane o nieznajomym, w taki sposób:

— Jest z okolic Krakowa...nieźle... myśli tu w górach zostać dłużej... nic lepszego,.. przybył w Karpaty sam... właśnie tego mi potrzeba... obawiałem się żeby to nie był ktoś z jakiego liczniejszego towarzystwa, co się chwilowo puścił na samotną wycieczkę. Pytałem się go gdzie mieszkają rodzice jego, odpowiedział, że nie ma ani rodziców ani bliższej familji oprócz jednego stryja, z którym się nie częściej jak raz na rok widuje. Oczywiście jakiś człowiek, którym się nikt nie interesuje, który nie wie co robić z życiem dla nikogo niepotrzebnem i naraża je na skałach i na krawędziach przepaści, ot tak sobie dla rozrywki. Gdyby jakkolwiek pośliznął się i kark skręcił, od łez któreby po nim wylano nie przybrałaby ani jedna rzeka.

Po upływie godziny dwaj wędrowcy uczuli zmęczenie, które znać było może więcej na nieznajomym jak na Mrożku, chociaż Mrożek bardziej na nie narzekał, a wreszcie upatrzywszy miejsce stosowne zawołał:

— No, jeśli się pan uprzesz, żeby tutaj nie spocząc i niezrobić popasu, choćby nawet do południa, bo słońce zaczyna dogrzewać, to idź pan dalej, a ja sam zostanę.

Nieznajomy nie miał ochoty się sprzeciwiać, zasiedli więc obydwaj: ze swych tłomoczków zaczerpnęli zapasów i zabrali się do pokrzepiania sił na dalszą drogę.

Gdy nieznajomy otwierał do swej torby podróżnej, Mrożek ukradkiem spojrzał w nią tak ciekawie, jakby chciał ją przejrzeć aż do dna.

Na wszystkie te oczne manewra, na całą grę twarzy Mrożka, nieznajomy nie zwracał uwagi. — W pierwszej chwili prawda znalazł on swego towarzysza niemiłym i uczuł jakiś antypatyczny, instynktowny wstręt do niego, lecz miłe obejście i przyjacielskość spotkanego, wkrótce to niemające rozumowej podstawy uczucie przezwyciężyć zdołały. Nieznajomy oswoił się z jego twarzą i nie widział powodu gniewać się na przypadek, który go z nim zaznajomił. Widząc że Mrożek ciągle mówi, a nie spostrzegłszy się że w rozmowie przypadkowo niby, lecz z jakimś rodzajem systematu, wypytuje go o rozmaite szczegóły dotyczące jego osoby, nieznajomy powiedział sobie:

— Doprawdy, niezły człowiek, bo gadatliwy. — Ludzie co mają duszę na języku i wszystko wypowiedzieć gotowi co myślą, mogą nie być dosyć inteligentni, może im wielu rzeczy brakować, ale źli nie są. Złe przedewszystkiem jest skryte.

W tem rozumowaniu nieznajomy wychodził z zasady, która może nie jest fałszywą, ale ją błędnie i niewłaściwie chciał zastosować do Mrożka. Mrożek choć mówił wiele, gadatliwym jednakże nie był, bo się nie opowiadał i nie zwierzał ale badał. Nieznajomemu naszemu raczejby gadatliwość zarzucić było można, w niewielu bowiem słowach niejedną rzecz o sobie powiedział Mrożkowi, z niejednym szczegółem się wywnętrzył, a nic się w zamian nie dowiedział o swym towarzyszu wycieczki.

Widząc, że nieznajomy nie ma zamiaru taić się z tem co jego osoby dotyczyło, Mrożek podczas spoczynku dalej wyciągał go na słówka, a nareszcie wprost bez ogródek zagadnął:

— Ponieważ przypadek dał nam się spotkać i złączył nas z sobą na czas dłuższy niż zwykłe spotkania w podróży, godziłoby się może żebyśmy się bliżej poznali i opowiedzieli sobie, co za jedni jesteśmy i co na tym świecie robimy?

Nieznajomy nie czekał aż Mrożek da przykład tych zwierzeń, aż wymieni swój stan i nazwisko, lecz uważając propozycją za bardzo naturalną, przyjął ją i odpowiedział na nią jednocześnie:

— Moja historja jest bardzo prosta i w kilku słowach się zamyka, są bowiem żywoty, które daleko łatwiej opowiedzieć niż przeżyć. Byłem zawsze człowiekiem słabej woli i łatwowiernym. Innym dość raz się zawieść na kimkolwiek, aby mu już nigdy nie wierzyć, ja gdym raz został zawiedziony pozwalałem jeszcze potem wmówić w siebie, że czarne było białem lub zielonem i przychodziło do tego, że ten sam człowiek oszukiwał mnie powtórnie i po raz trzeci. Inni jak im się co mimo wszelkich wysileń raz nie uda, spostrzegają się, że chcieli podjąć ciężar większy nad ich siły i biorą się do innej roboty; ja po doświadczonem niepowodzeniu, które mnie przekonywało że czemukolwiek nie dam rady, brałem się znowu do tej samej rzeczy, ale nie z wytrwałością tylko z uporem. Wytrwałości zwykle mi brakować zaczynało wtenczas właśnie, kiedy to com przedsiębrał już się miało udać stanowczo. Wtedy opuszczałem ręce, aby ich znowu użyć z większą jeszcze gorliwością, ale po czasie. Wszystko to jednak co panu mówię są ogólniki, których pan nie jesteś ciekawy, więc się panu przedstawię po prostu. Nazywam się Jan Świt i ztąd może poszło, że mi często w głowie świtało, zwłaszcza gdy szło o praktyczne obracanie się po świecie, do którego brałem się zawsze niezgrabnie. To też straciłem w ciągu krótkiego życia mój majątek materjalny i moralny. Jeden i drugi zabierały mi zawody i straty, których wielu ludzi na mojem miejscu potrafiłoby uniknąć. Szczegóły tego co przeszedłem byłyby może ciekawe, nie lubię ich jednak opowiadać—raz że mi to samemu przykrość sprawia, a powtóre że opowiadanie przygód człowieka, który sam sobie na wszystko złe zarobił, mogłoby w słuchaczu wywołać tylko albo politowanie albo szyderstwo, a jedno i drugie również byłoby przykrem dla mojej dumy. Duma ta nawet przyprowadziła mnie tutaj, w Karpaty. Ostatni cios jaki poniosłem zabrał mi tak znaczną część majątku, że mi już nadal bez pomocy stryja nie mogłoby wystarczyć na życie, a pracować na chleb nie umiem. Zostało mi około dziesięciu tysięcy reńskich. Nie wiedząc co lepszego zrobić z tym kapitalikiem i bojąc się żebym na przyszłość nie został zmuszony uciekać się do łaski rodziny, postanowiłem dać za wygraną wszystkim świetnym widokom jakie mieć mogłem, kupiłem sobie dochód dożywotni w ilości sześciuset reńskich, a że z takim dochodem niepodobna żyć w mieście, a na wsi nie ma co robić, więc się puściłem w góry. Tutaj z początku włóczę się z miejsca na miejsce i zwiedzam ważniejsze szczyty, a jak sobie jakie bardzo malownicze miejsce wybiorę i jak mnie nogi zbyt będą bolały, to za pozostałą resztę grosza zbuduję sobie albo kupię chatkę maleńką, osiądę w pośród górali i będę uczył czytać ich dzieci.

— Romantyczny plan — rzekł Mrożek,—i długoż pan tu zostać myślisz?...

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa dwadzieścia ośm lat i sześć miesięcy, bo kiedym zabezpieczał sobie ów dochodzik dożywotni, powiedziano mi, że według tablic śmiertelności tyle jeszcze żyć powinienem.

— A więc na zawsze?

— Na zawsze.

— Ależ to wszystko jedno co zakopać się żywcem w grobie.

— Ja też w istocie uważam to za rodzaj samobójstwa—odpowiedział Świt,—wolałbym uciec od życia samego, ale do tego trzeba silniejszego charakteru niż mój... uciekam więc od ciężarów jakie na mnie życie nakłada i od ludzi, z któremi żyć nie umiałem.

— Jak na człowieka, któremu zbrzydło życie i który się wyrzekł ludzi, doprawdy jesteś pan cokolwiek za wesół, za swobodny i za otwarty, dla tego nie dziw się pan, że wszystko coś powiedział wezmę raczej za żart jak za prawdę.

Tą uwagą Mrożek starał się skłonić nieznajomego do dania słowom swoim jakiejś rękojmi, w istocie bowiem postać i znalezienie się nieznajomego wcale nie zgadzały się z tem co mówił. Na mizantropa nie wyglądał on zupełnie, mówił tak chętnie i z taką

swobodą, że wszystko łatwo wziąść było można za zmyślenie.

— Jest to przecież rzecz naturalna— odparł na uwagę Mrożka jego przypadkowy towarzysz podróży,—tutaj zetknąłem się z Przyrodą w całym jej majestacie, w całej jej potędze. Jej świeżość owionęła mnie i spędziła mi chmury z czoła. Odetchnąłem kiedym tu stanął, przekonałem się, że przychodząc tutaj, można jest niebrać z sobą nic z przeszłości i że kto się tu chce zakopać na resztę życia, będzie miał grób bardzo przyjemny. To odświeżyło i rozpogodziło moją myśl. Sądzę, że mnie pan zrozumiałeś.

— Tym łatwiej panie—odpowiedział Mrożek,— że usposobienie moje jest bardzo do pańskiego podobne. I ja także, przynajmniej na czas jakiś chciałbym usunąć się od ludzi, i nie wiem jeszcze gdzie się obrócę. Myślałem dostać się do Węgier, a ztamtąd puścić się dalej w świat, mniejsza o to gdzie, byle jak najwięcej mil pozostawić za sobą. Być może przecież że się zatrzymam w górach dłużej niż zamierzyłem, i kto wie czy dzisiejsze spotkanie z panem nie wpłynie na dalsze moje postanowienia.

— W jaki sposób? jeżeli mogę spytać.

— Długoby o tem gadać, panie—rzekł Mrożek wstając z miejsca na którem siedzieli,—zdaje się jednak, że wypowiedzieliśmy dosyć i możeby było dobrze, gdybyśmy się puścili dalej, korzystając z tego, że słońce na czas jakiś ukryło się za tą chmurą, która nie wiem czy nam deszczem nie grozi...

Jan Świt dał się i teraz zupełnie powodować Mrożkowi. Wstał, wyprostował się, zarzucił swoją torbę na plecy, wziął kij w rękę i postępując za Mrożkiem rzekł tylko:

— Więc zapoznanie się bliższe z panem trzeba będzie odłożyć do następnego spoczynku, który może już na samym szczycie tej góry nastąpi.

— Tak... na górze opowiem panu więcej o sobie, tymczasem dopełniam obowiązku przedstawienia się panu z imienia i nazwiska. Nazywam się....

Tu przerwał sobie Mrożek.

— Djabelnie przykra droga... nieprawdaż panie... stoczyć się z tego miejsca... winszuję...

Zagadując tak myślał:

— Po licha o nazwisku zacząłem?... co mu potem?.... a nużby się nie udało?.... mieliby ślad....

I znowu gadał o niebezpieczeństwie drożyn i ścieżek górskich, a w głowie kombinował dalej:

— Ba!... nazywać się mogę jak mi się podoba, a w takiem położeniu jak w tej chwili moje i jego, wszystko udać się musi....

Nawyrzekawszy się co niemiara, powrócił wreszcie do rzeczy, od której się sam oderwał.

— Powiedziałem więc panu jak się nazywam...

— Przepraszam—przerwał Świt,—nie powiedziałeś pan bynajmniej.

Nie?... — powtórzył udając zdziwienie Mrożek,—prawdziwie widać jestem roztargniony... nazywam się Józef Mrok...

Pokazało się, że Mrożek inaczej się nazywał dla siebie, a inaczej zupełnie dla ludzi. Świt jednak nie wiedząc o jego prawdziwem nazwisku nie mógł zrobić tej uwagi, a za to zrobił inną wcale przez Mrożka niespodziewaną:

— Świt i Mrok, co za szczególny zbieg nazwisk!...

Mrożek uczuł drganie w powiekach jak człowiek który skłamał i chce upartem patrzeniem w oczy temu przed kim skłamał, dowieść prawdy tego co mówił.

— Głupiec jestem— myślał,—i z łatwością zgubić się mogę.... kto widział tak komponować nazwiska... On Świt więc się zrobiłem Mrokiem..... Jeżeli ma choć trochę węchu to mi nie uwierzy i zacznie się mieć na baczności.... Trzeba się z nim prędko uwinąć.

Opanował prędko chwilowe pomięszanie i na obserwacją towarzysza wędrówki odpowiedział:

— Prawda... nie zwróciłem na to uwagi... w istocie zbieg szczególny... W naturze świt od mroku przedziela zawsze dzień albo noc cała, tutaj idziemy obok siebie.

— Panie Mroku—przerwał mu Świt,—teraz uważnie i w milczeniu!.... Podaj pan rękę... Nim się przedostaniemy pod tamte zarośla każde obsunięcie się nogi może nas zwrócić w sposób niebardzo przyjemny do miejsca, z którego wyszliśmy.

Mrożek usłuchał komendy, obaj dalej w milczeniu pięli się pod górę. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

MĄŻ.

„Znaj siebie samego."

Krzywdębyśmy wyrządzili pięknej połowie rodu ludzkiego, gdybyśmy przepisując jej prawa, wytykając wady i ułomności, obowiązki mężczyzny pominęli milczeniem—jakby silniejsza połowa rodu ludzkiego, była istotnie uosobioną doskonałością, której nic zarzucić, nic dodać nie można. Że tak nie jest, dosyć się przyjrzeć naszym małżeństwom, dosyć posłuchać zażaleń żoninych, rozpatrzeć bacznie dzieje chociażby kilku tylko małżeństw od różanych chwil miodowego miesiąca, do kresu doczesnej ziemskiej pielgrzymki.

Kto winien?

Nie przesądzając w odpowiedzi, śmiało powiedzieć możemy: że na tysiąc winnych małżonków, dziewięćset przypada na płeć mocniejszą. Pośpieszamy tu jednak dodać, że winy te są nader względne i nie zawsze za takie w oczach świata, a nawet najbliższych uchodzą. Winą bowiem silnego jest nie tylko to, że nie umie być czasem trochę pobłażliwym względem słabszych, ale i to także, że nie zawsze dosyć jest silnym by przewodniczyć słabszym na błędnej drodze żywota. Czyli innemi słowy, że bardzo często się zdarza, iż błędy i wady żon w samych mężach mają źródło, a w takim razie lubo mąż z pozoru może być najlepszym, w gruncie jednak jest winien. W dalszym ciągu tej pracy postaramy się z tego paradoxalnego może zdania wytłumaczyć, obecnie winniśmy zwrócić uwagę na pewną okoliczność, która nie jednego mogłaby w błąd wprowadzić.

Oto, o kobietach ponapisywano stosy ksiąg i rozpraw, a o mężczyznach zaledwie kilka arkuszy papieru napsuto; w towarzystwie, na ambonie, z katedry, powstają najdziwniejsze głosy przeciw kobiecie, na której prawdziwie ani jednej uczciwej nici nie zostawiono—o mężczyznach zaś, zaledwie się półgębkiem odezwie jaka piękność zapomniana. Jakiż ztąd wniosek? Najnaturalniejszy: na kogo tak krzyczą, ten jużcić musi być winien... a zatem kobieta jest winną.

Opinja taka za nadto jest płytką, abyśmy się silili ją obalić. Przed trybunałem wilków, owca zawsze jest winną; tak samo i od mężczyzn trudno wymagać, aby całe brzemię winy przyjęli na siebie, ile że bezstronność nie każdemu jest daną w udziale. Rzadko spotykamy się z sądem potępiającym mężczyzn, bo sąd ten wydają mężczyzni i ztąd cała przyczyna obłędu.

Pomimo jednak własnych słów naszych, wypowiedzianych we wstępie tej pracy, że na tysiąc winnych, dziewięćset małżonków przypada, sprawiedliwość każe nam wyznać, że wielu mężów nie zeszłoby z drogi obowiązku, gdyby ich żony do tego nie zniewoliły. W takich razach główną ich przewiną jest brak woli i słabość charakteru; a po części może owa ślepa miłość, którą częściej niżby się napozór zdawało, w mężach współczesnych spotykamy. Miłość ta, trafiwszy na przedmiot godny kochania, staje się niby balsamem życia naszego; lecz w przeciwnym razie jest ona owym zgubnym puharem, na dnie którego znajdziemy śmierć lub gorszego od niej robaka skażenia.

Poszukajmy przykładów w życiu, a ono dostarczy nam przykładów popierających powyższe twierdzenie. Zapytajmy się ludzi: jaką była młodość tego człowieka co się dziś tarza w prochu i błocie, co zapomniał o najświętszych swoich obowiązkach, co zapomniał nawet że jest człowiekiem... Nie uwierzym może gdy nam odpowiedzą, że człowiek ten był niegdyś pełnym nadziei młodzieńcem, że z czoła jego myśl Boża promieniała, że go ze snu sława wielkich ludzi budziła... Kto go w tę przepaść wtrącił? kto mu obciął skrzydła? boleśnie to wyznać, gdy nieubłagany głos prawdy powie—to własna jego miłość zgubiła. On ukochał anioła w szatanie; on wszystkie swe nadzieje i rozkosze złożył na łonie zimnej marmurowej niewiasty, która niewdzięcznością i szyderstwem za jego miłość odpłaca; on w niej szukał towarzyszki życia—znalazł ciężar dławiący go ku ziemi, szukał pociechy—znalazł zmartwienie, szukał gospodyni—znalazł rozrzutnicę, szukał przyjaciółki—znalazł zrzędę; spodziewał się współczucia, a otrzymał obojętność—słowem znalazł same zawody i rozczarowania. To mu zmierziło świat, ludzi, jego samego postanowiło o wszystkiem zapomnieć, nawet o tem że jest człowiekiem.

Nie oczyszcza go to wprawdzie od winy, ale ją łagodzi.

Zresztą owe częste utyskiwania na słabość mężów, nie zawsze są uzasadnione. A przytem trudno zaiste wymagać aby ogół mężów posiadał serce z kamienia, a na karku nosił głowę bajecznych półbogów. Nie o bohaterach zresztą tu mówimy, ale o ludziach zwyczajnych, więc wzrosłych przy tych samych warunkach co ogół, co wszyscy. Nie ich często wina, że nie zahartowano dostatecznie ich charakteru, że nie wlano w nich niezłomnej woli i sił ducha, nie ich powiadamy wina, że wydając ich na świat mężczyznami, nie dano ducha prawdziwie męzkiego. To jednak wątpliwości nie ulega, że większa i znacznie większa ich część pomimo tej słabości nie zeszłaby ani na krok z drogi obowiązku, nie przepomniałaby o powinnościach ojca i męża, gdyby nie zniewoliły ich ku temu same kobiety.

Ileż to jest takich małżeństw, w których mężowie dla tego zniechęcili się do żon swoich a nawet zupełnie je obrzydzili, że znieść nie mogli niepohamowanej niczem ich zazdrości, że oburzało ich to niedowierzanie do ostatecznych granic posunięte. Inni znowu nie mogąc znieść ciągłego zrzędzenia swoich połowic, obrzydzają dom, który przedtem kochali i u cudzych bogów szukają szczęścia i zapomnienia o swoim losie. Tam zbytnie zamiłowanie w strojach, trwonienie krwawo zapracowanego nieraz grosza na modne kapelusze i ubrania, wyradza w najpobłażliwszych nawet mężach skąpstwo, nieużytość, a nawet cierpkość do niezniesienia.

Najpospolitsza zaś wada naszych kobiet, owa niby niewinna zalotność, od której jednakowoż jeden tylko krok do grzechu, zrazu wyradza w mężach zazdrość, następnie ich samych w wir pokątnych miłostek popycha, wywołując tym sposobem w domu wiekuistą burzę i niezgodę. Tak to z małych napozór przyczyn, rodzą się wielkie następstwa i niemało jest zapewnie żon narzekających na nieznośne z mężami pożycie, którym się ani śni, że one tylko same są jedyną przyczyną mężowskich przywar.

Ale większa daleko liczba jest takich ludzi, którzy całem życiem swojem najusilniej starają się dowieść, iż ani na mężów, ani na ojców, ani wreszcie na mężczyzn, najmniejszych nie mają kwalifikacji. Ludzie ci mając odrębny sposób zapatrywania się na świat i życie (a właściwie mówiąc wcale go nie mając, a tylko idąc owczym pędem za podobnemi sobie indywiduami), nie dziw, że obowiązki swe poczytują za uciążliwe więzy przez społeczeństwo narzucone, w żonie zaś widzą tylko niepozbytego nieprzyjaciela, z którym od czasu do czasu chwilowe robią zawieszenie broni. Ognisko domowe jest dla takich panów więzieniem, towarzystwo żony wywołuje w nich w najlepszym razie poziewanie, nawet własne dzieci nie zawsze znajdują w nich ojcowskie serce, nawet uroczysta przysięga nie zawsze jest dostatecznym hamulcem na poskromienie rozbujałych ich namiętności. Weseli po za domem, w kółku rodzinnem wyglądają jak na śmierć skazani; rozmowni i dowcipni w obcem towarzystwie, w obec małżonki i dziatwy stają się nieznośnemi mrukami; nadskakujący dla pierwszej lepszej obcej kobiety, dla swoich żon mają tylko słowo nagany lub upokorzenia. Godzina poświęcona słodkim obowiązkom domowym, wywołuje w nich poziewanie i niesmak, gdy tymczasem całe noce spędzone u zielonego stolika—noce, odbierające im zdrowie i grosz krwawo zapracowany, żadnej niechęci w nich nie obudzają, owszem nieprzyzwyciężony posiadają urok. Na sukienkę dla córki, na książkę dla syna, na domowe potrzeby dla żony, nigdy nie masz u nich pieniędzy—ale na śniadanie z przyjaciółmi, na podwieczórki ogródkowe, na karty i na tym podobne niepotrzebne wydatki, nigdy im ani pieniędzy, ani ochoty nie zabraknie. Najuczciwsze żony dręczą nie raz niesłuszną podejrzliwością lub zazdrością przechodzącą wszelkie granice rozsądku i przyzwoitości, sobie zaś pozwalają wszelkich godziwych i niegodziwych przyjemności życia, na które zawsze gotowe usprawiedliwienie znaleść umieją.

Cóż dziwnego, że pożycie z takiemi mężami, obmierźnie z czasem choćby i najcierpliwszej kobiecie, co dziwnego że anioł przed ślubem, coraz bardziej po ślubie przyrasta do ziemi i nabiera wszystkich wad zwyczajnej kobiety? W przeciwnym razie, jeżeli niewiasta posiada tyle hartu, że nie ulegnie słabej ludzkiej naturze, że z przepaścistej drogi życia wyjdzie cała duchem i sercem—to jakże często słabe jej ciało nie wytrzyma takiego ciężaru i upadnie bezsilne w objęcia przedwczesnej śmierci?

A przecież mężowi tak łatwo być dobrym! tak łatwo dopełnić wszelkich obowiązków względem żony! Gdy po tej ostatniej, z natury rzeczy wymagamy bardzo wielu przymiotów, cnót, a nawet poświęceń, mąż powinien być tylko mężczyzną w całem słowa tego znaczeniu, aby dopełnił względem żony wszelkich powinności. Mężczyzna bowiem jako silniejszy, winien kobiecie nie tylko opiekę, ale i wyrozumiałość; jako większe zasoby posiadający światła, winien ją kształcić i z siebie dobry przykład dawać; jako podług boskich i ludzkich praw postawiony na czele rodziny, powinien dbać o jej potrzeby i wygody i ani na chwilę nie spuszczać z uwagi, że każdy grosz przezeń zapracowany, nie jego lecz wspólną całej rodziny staje się własnością. Co zaś do miłości, która jak cement w budowie, niezbędną jest w stadłach małżeńskich, trudno zaiste zniewolić do niej jakiemi bądź radami lub przepisami niesfornego małżonka: godzi się wszelako zapytać, dla czego wybrał żonę bez miłości? dla czego oszukał ją, ludzi i Boga przy ołtarzu? A jeżeli kochał ją istotnie przed ślubem, to zaiste jakiż zeń mężczyzna, jeśli do końca w miłości tej wytrwać nie mógł?....

Jakkolwiek szczupłym jest zakres obowiązków mężczyzny

względem żony, to jednakowoż jak mało jest dziś mężów, którzy z ręką na sercu mogliby powiedzieć: „jam nie winien." Przebieżmy wszystkie szczeble społeczeństwa, a wszędzie znajdziem uderzające pod tym zwłaszcza względem anormalności. W wyższych klasach mąż żyje swoim, żona swoim dworem; w średnich obojętność przez wszystkie szpary przeciska się do domowego ogniska; w niższych wreszcie—czego nie zrobi ciemnota, to dokona nieszczęsna wódka i krok w krok za nią postępujące ubóstwo.

Mąż prawy zna swoją wartość, i dla tego nigdy ani słowem, ani czynem nie poniży tej, którą obrał za towarzyszkę życia swego; chętnie ją będzie ostrzegał, napominał, wprowadzał na dobrą drogę, ale nigdy nie da jej uczuć, że jest samowolnym panem i zwierzchnikiem domu swojego. Niezdając przed nikim sprawy ze swoich zajęć i interesów poza domowych, nie powinien się też mieszać do spraw wyłącznie do jego żony należących. Ze wszystkich karykatur, najśmieszniejszym jest mąż w kuchni lub za krosnami. W stosunkach jednak domowych, jeżeli nie wolno mu być despotą, strzedz się też powinien aby nie został niewolnikiem.

Mąż-pantofel nie tylko śmieszy, ale sprawia obrzydzenie. Zresztą człowiek taki niech się nie spodziewa szacunku ani u własnej żony, ani u dzieci, domowników, ani nawet u obcych. Raz poddawszy się władzy żoninej, będzie musiał na zawsze wyrzec się swej przewagi mężowskiej i zaiste łatwiej wielbłądowi przeleźć przez ucho igły, aniżeli jemu odzyskać swoje prawa. Taki mąż nie jest mężem, lecz tylko sprzętem domowym dopóty mającym jakoś wartość, dopóki umie przynajmniej zapracować na swoje utrzymanie—inaczej, idzie w kąt, jak stara miotła lub pantofel przydeptany.

Na tym kończymy naszę rozprawę. Staraliśmy się w niej przedstawić czem jest, a czem być powinien prawy małżonek; wskazaliśmy złe, nie podając wszakże zaradczych środków. Nie podaliśmy zaś ich nie dlatego, iżbyśmy żadnych zgoła nie widzieli, lecz z tej przyczyny, że nie tak łatwo zastosować się one dadzą. Naszem bowiem zdaniem, tylko coraz bardziej rozszerzająca się oświata może niejakąś tamę złemu położyć—że zaś tej nam brakuje, na to zdaje się żadnych dowodów nie potrzeba.

We wszystkich stosunkach życia, błąkamy się jak ci ślepi, których bez przewodnika i kija na świat puszczono. Lada okoliczność może nas sprowadzić z tej drogi, a raz z niej zeszedłszy, własnym przemysłem nie potrafimy napowrót się dostać. We wszystkich swoich czynnościach spuszczamy się na owe nieszczęsne—jakoś to będzie, a w przyszłość poglądamy nie jak na mężów przystało, z cyrklem i kredką, ale jak dziatwa przez różnowzory kalejdoskop marzeń. Pracę cielesną znamy tylko z konieczności, ale wszelkiej pracy ducha najmocniej unikamy. — Bohaterowie języka, w chwilach próby miękniem jak wosk i rady sobie dać z biedą nie umiemy. Mężni przy hożych kobietach lub przy baterjach węgrzyna, okazali postacią, rozgłośni mową, nie szczędzący zaklęć energicznych, gotowi w każdej chwili do bójki i do zalewanej zgody, pomimo to wszystko, jak nie jesteśmy doskonałymi mężczyznami, tak nie umiemy być małżonkami w całem słowa tego znaczeniu.

Oświaty więc! bo w ciemnościach nie zdołamy zajrzeć w głąb' duszy własnej!

Mścisław Kamiński.

Listy z podróży na wystawę paryzką.

VIII.

Paryż, d. *25 Lipca 1867 roku.*

Zastanawiając się nad młynarstwem z powodu maszyny do obłuskiwania zboża, o której pisałem w przeszłym liście, zwróciłem uwagę na dwa znajdujące się na wystawie wiatraki, bardzo mało na pozór różne od zwyczajnych. Byłem bardzo ciekawy co one tutaj robić mogą: czyż porobiono w nich aż takie ulepszenia, że w kraju tak wysoko posuniętym w przemyśle jak Francja, walczyć jeszcze potrafią z młynami parowemi? pytałem się sam siebie, czy też może przekonano się, że pierwotny i prosty wiatrak jest lepszy i dokładniej swą robotę wykonywa od skomplikowanego mechanizmu tych wielkich gmachów, z których wychodzi taka piękna mąka?... Przyjrzawszy się bliżej przekonałem się, że ani jedno, ani drugie z moich domysłów nie było prawdziwem i że tą razą mój pan Paweł miał racją, kiedy prowadził ze mną następującą rozmowę.

— Czytałeś Don Kiszota, panie Józefie?

— Czytałem w tłómaczeniu polskiem w *Skarbcu arcydzieł piśmienniczych Europy*, wydawanym przez dwunastą laty w Warszawie.

— I śmiałeś się pewno, czytając pod koniec pierwszej księgi opis walki błędnego rycerza z wiatrakami?

— Naturalnie, odpowiedziałem—jest to jedna z najkomiczniejszych pomyłek rycerza smętnej postaci... wiatraki wziął za olbrzymów.

— A przecież, odrzekł na to z powagą pan Paweł, tu na wystawie znajdziemy sposobność przekonania się, że pomyłka Don Kiszota nie była tak wielką; i jeżeli patrzeć nie na ich kształt ale na ich robotę, można je łatwo wziąć za olbrzymów.

— Na mielenie zboża? zapytałem zdziwiony.

— Bynajmniej. Mielenie zboża daleko dokładniej, prędzej i taniej odbywać się może za pomocą innych przyrządów. Są jednak prace do dokonania których olbrzymie wysilenia ludzi byłyby niedostateczne, do których użycie machin innego rodzaju pochłonąćby musiało niesłychane kapitały, a które wiatrak załatwia szybko, tanio i dokładnie. Są obszerne okolice, prowincje całe, które nie tylko pomyślność, ale sam byt, same istnienie swoje zawdzięczają umiejętnemu zastosowaniu siły wiatraków i które za ich pomocą dokonały robót, do których legje całe olbrzymów byłyby niedostateczne.

— Jakież to są roboty? pytałem znów niedowierzając i podejrzewając pana Pawła, że całą tą napuszoną pochwałą wiatraków chce mnie tylko zaintrygować, aby potem jak zwykle zgrabnym dowcipem się wykręcić.

— Hydrauliczne, odpowiedział. Za pomocą przyrządu tak prostego jak wiatrak, można podnosić wodę na bardzo znaczną wysokość, z łatwością i prawie bez kosztu. Pojmiesz łatwo, jaka to była pomoc przy osuszaniu ogromnych nizin Holandji i wykonywaniu robót około owych sławnych grobli, co ją zabezpieczają od zalewów. Oprócz tych robót, wiatraki oddawać mogą ogromne przysługi w rolnictwie, a szczególniej w ogrodnictwie w miejscach gdzie wody mało. Ot, wiesz co panie Józefie, chcesz zrobić majątek?...

— Ludzie pracy, odrzekłem—nie mogą się wypierać, ani się wstydzić nie powinni tej chęci. Sam zawód jaki obrali dowodzi, że jeżeli dążą do majątku, to dążą uczciwą drogą.

— No, to widzisz, jak powrócisz do kraju, porzuć ślusarkę i zacznij stawiać młyny do mielenia wody za pomocą wiatru, takie jak tu są na wystawie.

Znając już bliżej pana Pawła, nauczyłem się niebardzo wierzyć w praktyczność jego pomysłów. To co jest dobrem dla Francji lub Holandji, może nie być dobrem dla Polski, mimo to przecież postanowiłem bliżej się zaznajomić z wiatrakami hydraulicznemi, ażeby się dowiedzieć czy to prawda, że tak wielkie usługi oddawać mogły i mogą.

Przekonałem się, że tą razą słowa pana Pawła były rozsądne i praktyczne.

Wiatr jest motorem, który nic nie kosztuje. Aby otrzymać parę, potrzeba wydawać pieniądze—siła wiatru przychodzi nam darmo. To prawda, że ta siła jest kapryśną, że zmienia bardzo często kierunek i natężenie, niekiedy przerywa swe działanie, niekiedy znowu potężnieje nad po-

trzebę, co ją wówczas czyni zupełnie niedogodną a czasem nawet niebezpieczną. Ta kapryśność wiatru, nie wszędzie pozwala go stosować jako motora, często jednak zastosować się daje szczęśliwie. Przez długie wieki wiatr był jednym z najdzielniejszych motorów żeglugi, przez długie wieki w okolicach pozbawionych wody wiatr jedynie zastępował pracę ręczną przy zamienianiu zboża na mąkę. Zostająca dotychczas w kolebce żegluga napowietrzna, która wydała dopiero dwa przyrządy mogące wznosić się w górę: latawiec i balon, w wietrze jedynie znajduje swą siłę, i w jego kapryśności ma jedyną przeszkodę do swego udoskonalenia.

Zastosowanie wiatraków do podnoszenia wody na pewną wysokość, dowodzi że zakres działalności wiatru jako motora nie został jeszcze wyczerpanym i że rozszerzonym być może. Nie wchodząc w to, do czego jeszcze na przyszłość duch wynalazczy siłę wiatru zastosować zdoła, dosyć nam będzie na dziś nauczyć się z obejrzenia wystawy, że ta siła już jest bardzo korzystnie i umiejętnie pożytkowaną. Gdyby nie wystawa, chcąc się o tem przekonać trzebaby może było jechać aż do Holandji, na której groblach spostrzeglibyśmy nieskończone szeregi wieżyczek z kołami wietrznemi zbudowanych z żelaza, dosyć niskich i dosyć mocnych, żeby się oprzeć mogły najsilniejszym wiatrom. Im to prawie całe pobrzeże Niderlandów zawdzięcza swoją żyzność, a klimat tego kraju im winien, że nie jest zabójczym.

W niektórych okolicach Francji, a szczególniej w prowincji Nivernais, leżącej między rzekami Loarą i Yonne'ą, na południo-wschód od Paryża, wiatraki hydrauliczne używane są do nawadniania łąk z takiem pożytkiem, że liczba ich ciągle się pomnaża.

Na Polu Marsowem, znajdują się w Parku otaczającym wystawę, dwa takie wiatraki. Jeden z nich kosztuje 25,000 fr. i mógłby być ozdobą najpyszniejszego książęcego parku, drugi kosztuje tylko sześćset fr.(150 rs.), jest bezporównania skromniejszy na zewnątrz, ale ma tę ważną zaletę, że kosztując przeszło 40 razy mniej, robi to samo co poprzedni, ma taką samą siłę i ten sam daje rezultat, chociaż mechanizm jego jest daleko prostszy i na zegarek nie zakrawa. Prostota mechanizmu jest zdumiewającą. Koło ma sześć skrzydeł. Cały mechanizm jest tak urządzony, że się zwraca bez pomocy ręki ludzkiej w kierunku wiatru, skutkiem czego nawet podczas gwałtownie zrywającego się wichru, bardzo rzadko narażonym być może na uszkodzenie. Utrzymanie nie kosztuje nic prawie, dosyć jest smarować od czasu do czasu mechanizm.

Siła wiatraka hydraulicznego takiego jak wystawiony w parku, jest równą podczas średniego wiatru sile jednego konia parowego. Przy pomocy tej siły, kiedy wiatr średni trwa ciągle, można w ciągu godziny podnieść około 1575 kwart wody na 40 stóp wysokości. Gdzie nie ma wodociągów, możnaby umieszczać takie wiatraki na szczytach domów i zapomocą odpowiedniego systemu rur, sprowadzać wodę na wszystkie piętra; potrzeba jednak do tego bardzo odpowiedniej miejscowości. Daleko łatwiej wiatraki hydrauliczne użyć się dają do irrygacji pól, łąk i ogrodów, cena zaś ich, zwłaszcza gdyby je na miejscu budowano, niebyłaby jak mi się zdaje wygórowaną, odpowiednio do pożytku jaki przynosićby mogły.

Nie wiem czy czytelnicy moi nie mają mi za złe, że zamiast im opisywać to, około czego najbardziej tłoczą się ludzie: pawilon cesarski, meczety, kioski, łazienki tureckie, pałac beja tunetańskiego, cerkiew rumuńską, pałac wice-króla Egiptu, dom egipski, świątynię Faraona, Karawanseraj, szlifirnią diamentów, sztuczne jezioro i kaskadę, akwarium, sztuczne ruiny, restauracje różnych narodów, stajnią wielbłądów i osłów, albo obrazy i posągi do ocenienia których potrzeba znawstwa, a nie oka co poraz pierwszy zbiory przegląda — zajmuję się głównie ciekawemi na oko, lecz mogącemi znaleść i u nas zastosowanie. Pan Paweł kiedy mu czasem czytam moje listy, powiada mi, żem się nie urodził na felietonistę, lecz mnie to wszystko nie zraża i nie mogę sobie wytłómaczyć, żeby na co się przydać mogło rozpisywanie się o wielu a wielu rzeczach, które tylko oko bawią ale umysłu niczego nie uczą.

Dla tego i teraz od wiatraków przejdę do wiadomości o odkryciu jakie zrobił, dzięki swej żelaznej wytrwałości człowiek prosty, nieuczony, rybak z zawodu, a które teraz w rozmaitych krajach niemało przynosi korzyści i u nas ma zwolenników, choć nie tak licznych jakby może było godnem.

Mówię tu o sztucznem rozmnażaniu ryb, czyli o tak zwanej z łacińska piscykulturze.

W jednym punkcie galerji machin wdłuż ściany, umieszczone są apparty służące do tego nowego przemysłu, stworzonego niedawno przez biednego rybaka z Wogezów, Józefa Remy.

Człowiek ten biedny i nie mający, jak już powiedziałem, żadnej nauki, widząc że w wodach Francji ilość ryb ciągle się zmniejszała, powziął myśl śmiałą zaradzenia temu. Ów tak wybornie u nas nazywany chłopski rozum, powiedział mu, że zbadanie fenomenów mnożenia się ryb, poprowadzić go powinno do odkryć właściwych dla zapobieżenia złemu, z którem zamierzył walczyć. Do swych spostrzeżeń obrał pstrągi i przekonał się, że epoka ich tarcia się przypada w Listopadzie, tarcie zaś samo odbywa się w nocy. Samica trze się łagodnie o piaszczyste dno wody, ogonem usuwa na bok znajdujące się tam kamyki, z których tworzy rodzaj maleńkiej grobli i na wyrównanej tym sposobem powierzchni składa ikrę. Wówczas samiec się zbliża, zatrzymuje się nad złożonemi zarodami, wydziela z siebie mlecz, woda traci na chwilę swoją przezroczystość, wkrótce jednak odzyskuje ją znowu; w końcu zaś samica pokrywa piaskiem i kamykami zapłodnione już ziarnka ikry.

Józef Remy był świadkiem tych tajemnic, przepędzając zimne listopadowe noce w trawach nadbrzeżnych, po całych dniach pracowitego życia.

Prowadząc dalej swoje spostrzeżenia, Remy przyszedł do przekonania, że na dnie rzeki wiele przyczyn sprzeciwia się rozwojowi zapłodnionych zarodków. Nieraz opadnięcie wody zostawia je na brzegu gdzie zasychają i giną, inną razą nagły przybór porywa je i niszczy. Sam bieg rzeki niekiedy niepozwala im się rozwinąć, a we zbytecznem zimnie twardej pory roku, mają także strasznego nieprzyjaciela do tego stopnia, że skutkiem tych rozmaitych przyczyn, mała ich część zaledwie dochodzi do dojrzałości. Postanowił zatem umieścić wszystkie zarodki w okolicznościach najbardziej sprzyjających ich dojrzeniu. Umieścił pstrągi w skrzyni drewnianej zaopatrzonej mnóstwem dziurek, służących do przepływu wody i ustawił tę skrzynię w rzece. Tu jednakże spotkał go zawód, który człowieka mniej wytrwałego, mógł by był zupełnie zniechęcić—część tylko zarodków dojrzała.

Remy nie zraził się tem i rozpoczął znowu nocne obserwacje. Raz jeden sprawdziły się na nim słowa Pisma: „szukajcie a znajdziecie.” Nowe dostrzeżenia przekonały go, że część tylko ziarn ikry była zapłodnioną i objaśniły, dlaczego tylko część rozwinąć się mogła. Postanowił więc działać w ten sposób, ażeby wszystkie zarodki były zapładniane. Wpadł na myśl, że tarcie się samicy o piasek, miało jeszcze cel inny oprócz usunięcia na bok kamyczków, które się tam znajdować mogły, lecz że to tarcie jest nieodzowna [illegible]
mnożenia się ryb. Zauważył, że [illegible]
bował im przyjść w pomoc [illegible]
przez umiarkowane na[illegible]
więc samicę, [illegible]
nem [illegible]

czystość, a gdy ją odzyskała znowu, po czarnym punkciku na każdem jéj ziarnku poznać było można, że wszystkie zarodki zostały zapłodnione.

Sztuczne mnożenie ryb w ten sposób zostało odkryte. Remy zdołał naśladować bardzo zręcznie wszystkie okoliczności, w jakich potrzebują się znajdować zarodki zapłodnione, aby się wychować mogły, trzeba było teraz pomyśleć czem karmić młode. Tu także wpadł na myśl szczęśliwą. Młode pstrągi żywił z początku jajami żab, które w tym celu zapuszczał pomiędzy niemi, a następnie gdy podrosły, małemi trawożernemi rybkami, które w tym celu wraz z niemi hodował.

Czy tak myśliła, czy udawała,
Dość że na morze powędrowała.
A wieści o tem poszły daleko.
Drży morski naród strachem przejęty,
Rojem się z lasów zwierzęta wleką
I ptastwo zewsząd ciągnie chmarami,—
Patrzeć, jak buchną morskie odmęty
Dymem, płomieniem, żarem, iskrami.
I pieczeniarzy żarłocznych kupy,
Co rade patrzą gdzie komin dymi,
Z łyżkami przyszły tam przed innymi,
Żeby się najeść z ryb morskich zupy.



Myśli samobójcy.—(Podług obrazu Gerdziejewskiego, rysował Gerson, wyciął Szymborski).

Nie będę opisywał szczegółowo przyrządów używanych w piscykulturze, wspomnę tu tylko o znajdujących się na wystawie skrzyniach do przewozu ryb, których rozpowszechnienie jest tak wielkie, że ich sprzedają we Francji rocznie za pół-miljona franków. U nas o ile mi wiadomo, nikt jeszcze nie pomyślał o zabezpieczeniu życia ryb przywożodych na targ, to też naj większe stawy nie przynoszą odpo-
...iedniego dochodu, bo ryb z nich pochodzących nie mo-
... zatem mogą liczyć tylko na oko-
...ściej nie jest dostateczną.

Józef Niepowie.

Tłum więc na brzegu! każdy już z góry
Dziwi się, oczy wlepiwszy w tonie,
Czeka w milczeniu, lub szepnie który:
Ejże zakipi! ejże zapłonie!
Lecz darmo wzrokiem wodzą po fali,
Darmo czekają, nic się nie pali!
Może choć kipi?— Ani się ruszy!
I jakiż koniec wzięła ta pycha?
Śmiechu i wstydu mając po uszy,
Wróciła do dom sikora licha!
Rozniosła wrzawy i sławy siła,
Lecz przez to morza nie zapaliła.

Adam Pług.

Redaktor, Adam Mieczyński.